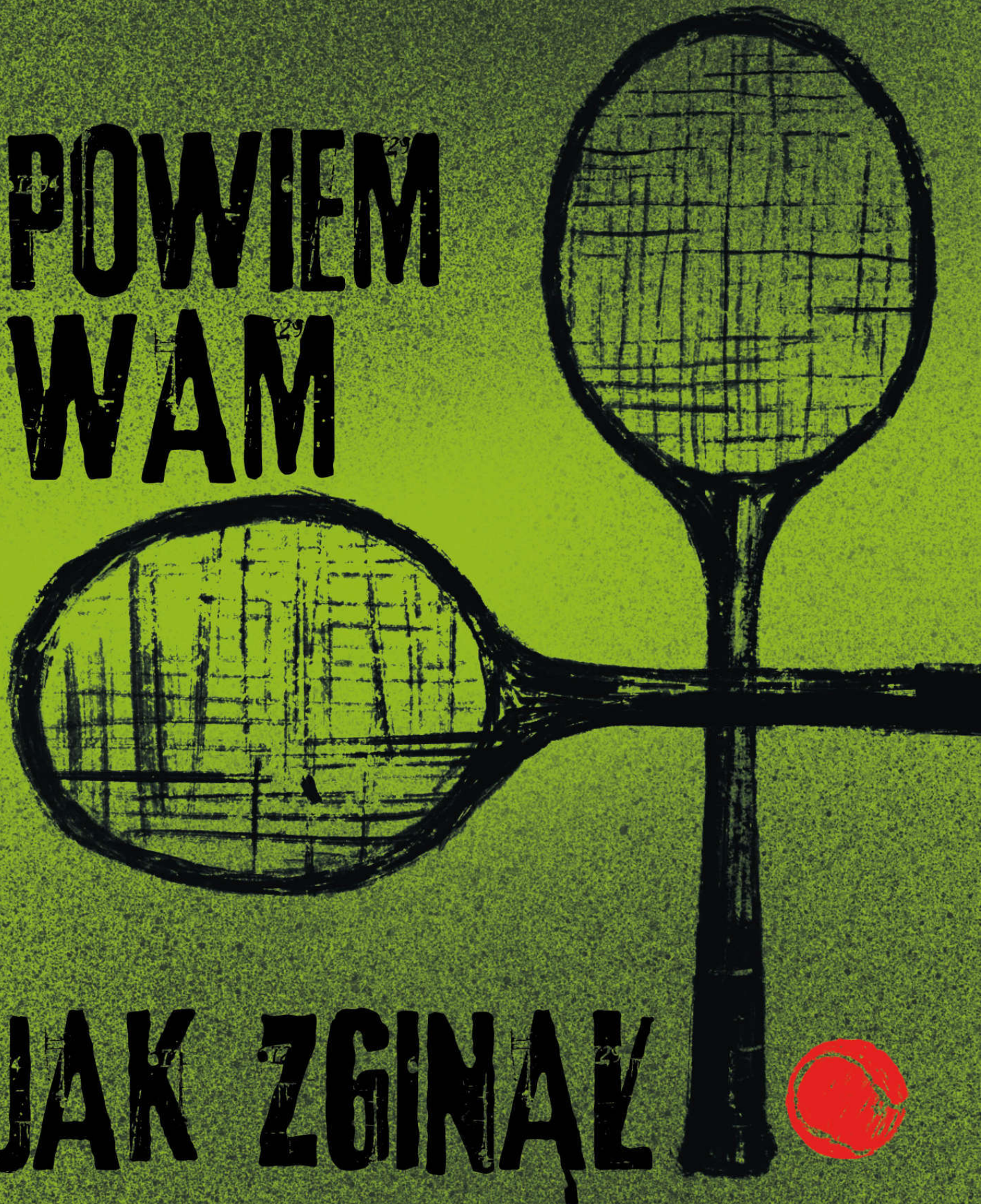
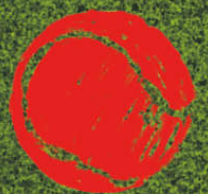


JOE ALEX

POWIERZAM
WAM



JAK ZGINAŁ



Joe Alex

POWIEM WAM, JAK ZGINAŁ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-26-7

© Copyright by The Estate of Maciej Słomczyński (2022)

© Copyright for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

Projekt okładki: Olga Bołdok

Klitajmestra

*Oto jestem. Zadany cios i czyn spełniony.
Otwarcie i bez lęku powiem wam, jak zginął.
Otuliłam go płótna płachtą, mocno tkaną,
jak siecią. Nie mógł uciec ani się uchylić
przed ciosem. Uderzyłam raz po raz, dwukrotnie,
a on krzyknął dwa razy i upadł nieżywy.
A gdy leżał, zadałam trzeci cios: ofiarny,
w podzięcie Zeusowi, władcy państwa zmarłych...
Tak oto padł i zginął. Wówczas dusza jego
ustami wytrysnęła razem z krwi strumieniem
tak silnym, że mnie całą skropił jak deszcz czarny.
I wstrząsnęła mną rozkosz jak ziemią po deszczu,
gdy czuje nabrzmiewanie kielkujących nasion.*

Ajschylos Oresteja

SPIS TREŚCI

I. PRZED UNIESIENIEM KURTYNY

II. RATUJCIE ICH!

III. DZIECKO NA SZOSIE

IV. JOE ALEX ODKRYWA MORDERCĘ

V. „OTO JESTEM!”

VI. W ŚWIELE KSIĘŻYCA

VII. „NIE MÓGŁ UCIEC ANI SIĘ UCHYLIĆ...”

VIII. WSZYSCY W DOMU ŚPIĄ

IX. „SZANOWNY PANIE PROFE...”

X. „...TRZECI CIOS: OFIARNY...”

XI. „CZY DOTYKAŁ PAN KLAMKI?”

XII. TYSIĄC FUNTÓW

XIII. SZKLANKA

XIV. PLAMA KRWI

XV. „UDERZYŁAM RAZ PO RAZ...”

XVI. MORDERCA IANA DRUMMONDA, OCZYWIŚCIE!

XVII. „POWIEM WAM JAK ZGINĄŁ”

I. PRZED UNIESIENIEM KURTYNY

Tego dnia Joe Alex skończył trzydzieści pięć lat, ale nie powiedział o tym nikomu i nawet niemal o tym zapomniał. Rano, kiedy spojrzął na kalendarz, przypomniały mu się dni dzieciństwa, tort, na którym co roku przybywała jedna nowa świeczka, twarze rodziców, zatarte kształty prezentów; a potem przyszło nagle, ostre wspomnienie dnia, kiedy lecąc nad chmurami ku płonącemu w dole niemieckiemu miastu, zobaczył pod słońce cień myśliwca z krzyżami na skrzydłach i pomyślał, że dziś ma urodziny i za chwilę może zginąć, dokładnie w rocznicę dnia, w którym przyszedł na świat. Ale to było przed laty. Od dawna unikał myśli o wszystkich osobistych świętach. Był sam na świecie i nic nie wskazywało na to, żeby ten stan rzeczy miał się kiedykolwiek zmienić. Tym bardziej dziś.

Mimowolnie spojrzął na stojącą na kominku tacę. Leżały na niej dwa bilety teatralne z dzisiejszą datą. Chciał pójść z Karoliną na przedstawienie *Macbetha*. A chciał pójść z dwóch powodów. Po pierwsze, czuł od pewnego czasu, że jego przyjaźń z Karoliną słabnie. Zнали się od dawna, może nawet od zbyt dawna. Karolina była ładna i kulturalna. Wiedział, że nie jest jej zupełnie obojętny. Odwiedziła jego mieszkanie po raz pierwszy przed rokiem. Potem spędzili tydzień nad morzem w Brighton. Więzy, które ich łączyły, były wiotkie, lekkie i może dlatego właśnie żadne z nich nie siliło się, by je zerwać. Przez pewien czas było im nawet dobrze z sobą. Joe, będący już w wieku, w którym instynkt daje chwilami znać człowiekowi, że powinien sobie znaleźć towarzyszkę życia, pomyślał nawet kilka razy przelotnie, że gdyby się chciał ożenić, osoba taka jak Karolina byłaby bardzo odpowiednia. Miły, czysty dom, ładna, opanowana pani tego domu, spokojna, pozbawiona wybojów droga życia. Tak, ale w życiu było chyba coś jeszcze, coś, czego nigdy dotąd nie zaznał. Miłość. A Karoliny nie kochał i sądził, że gdyby kiedykolwiek miał ją pokochać, było na to już dość czasu i sposobności.

Mimo to, kiedy ostatnio zaczął wyczuwać, że oddala się od niej coraz bardziej, uświadomił sobie, że go to martwi. Wiedział równocześnie, że wystarczyłoby chcieć, wystarczyłoby zmusić się do uwierzenia, że nie chce jej naprawdę stracić, aby została. Ale nie umiał wywołać w sobie tego uczucia. Stosował półśrodki. Takim właśnie półśrodkiem było wysłanie do niej kartki z zaproszeniem do teatru na dzisiejszy wieczór. Gdzieś na tej kartce, pośród miłych, konwencjonalnych słów, powinien był tkwić wykrzyknik, może podkreślenie piórem. Ale tego nie umiał zrobić. I dlatego stał teraz, ubrany do wyjścia, smutny, ale równocześnie pełen niemiłej ulgi. Jeżeli Karolina nie zadzwoni, to znaczy, że nie zadzwoni już chyba nigdy.

Drugim powodem, dla którego chciał pójść dziś do teatru, była chęć zobaczenia Sary Drummond, która grała rolę lady Macbeth. Ale i ten powód nie był jasny i prosty. Ani gra wielkiej aktorki, ani trzy godziny spędzone oko w oko z nieśmiertelnym problemem ambicji i zdrady nie byłyby go dziś zmusiły do wyjścia z domu. Po prostu musiał zobaczyć Sarę, bo był to jej ostatni występ londyński w tym roku, a on sam miał pojechać pojutrze rano do jej posiadłości, dokąd zaprosił go Ian Drummond, mąż Sary. Nie chciał znaleźć się pod jej dachem, przyznając równocześnie, że nie widział jej w tym roku na scenie. To byłoby nieprzyzwoite.

Ian, Alex i obecny inspektor Scotland Yardu, Ben Parker, byli w ciągu pięciu lat więcej niż przyjaciółmi. Stanowili część załogi bombowca, który wracając sponad jednego z okupowanych portów francuskich, spłonął już nad Anglią i runął na ziemię z wysokości sześciu tysięcy stóp. Z siedmiu znajdujących się w nim ludzi tylko trzech zdążyło wyskoczyć i rozwinąć spadochrony. Od tego czasu nie rozłączali się. Rozłączył ich dopiero pokój. Drummond, który był młodym i bardzo zdolnym chemikiem, ale nie chciał w czasie wojny służyć krajowi poza frontem i użył wówczas wszelkich protekcji, aby dostać się do lotnictwa

i nie dać wyreklamować się na powrót do laboratorium, wrócił tam po zawieszeniu broni i szybko zdobył wielkie nazwisko w świecie naukowym.

Alex został autorem powieści kryminalnych. Nie czuł żadnego powołania do tego zawodu, ale wiedział, że po pięciu latach wojny nie potrafi już nigdy wrócić do biura, które opuścił jako dziewiętnastoletni chłopiec, początkujący, dobrze ułożony, młodziutki urzędnik. Nic nie łączyło go już z tym chłopcem. Spróbował pisania i ku swemu zdumieniu zobaczył, że powieści jego są rozchwytywane. Na szczęście zbyt wiele czytał dobrych książek, aby ta dwuznaczna sława przewróciła mu w głowie. Mimo to starał się pisać swoje mroczne opowieści jak najlepiej.

To właśnie był jeszcze jeden powód jego złego samopoczucia dzisiejszego wieczoru. Mała, płaska maszyna Olivetti stała otwarta na stole, a na wkręconym w nią papierze widniały rozstrzelonym drukiem dwa słowa: Rozdział pierwszy.

I to było wszystko. Od dwóch tygodni ta sama kartka tkwiła w maszynie. Od dwóch tygodni chodził po pokoju całymi godzinami, zbliżał się do stołu, siadał, a potem wstawał i znowu zaczynał krążyć od ściany do ściany. Wiedział dokładnie, jaka ma być ta książka, chociaż nie miał nawet jeszcze jej planu. Czuł, że pomysł jest świetny: zagadka postawiona przed czytelnikiem prosta i niesłychanie jasna, a jednocześnie tak umieszczona w labiryncie pozorów, że do rozwiązania jej będzie prowadziła tylko jedna jedyna wąska ścieżka, zaopatrzona uczciwie we wszystkie konieczne drogowskazy, ale ukryta w mroku.

Westchnął. To, co czuł, nie miało żadnego znaczenia, skoro nie mógł zacząć. Może w cichym, okolonym starymi drzewami, wspartym o nadmorskie skały Sunshine Manor, otoczony dyskretną gościnnością Drummondów, będzie wreszcie mógł ruszyć z miejsca. Wiedział, że jeśli tylko potrafi zacząć, wszystko pójdzie dobrze.

Spojrzał na zegarek, a potem na milczący telefon. Jeżeli Karolina nie zadzwoni za pięć minut...

Telefon zadzwonił. Joe podniósł słuchawkę.

– Dobry wieczór – powiedziała Karolina.

– Dobry wieczór. Zacząłem się już obawiać, że nie dostałaś mojej kartki.

– Dostałam... – w głosie Karoliny zabrzmiało nieuchwytne wahanie. – Przykro mi, ale dzisiaj wyjeżdżam. – Znowu wahanie. Joe milczał. – Wyjeżdżam na długo. Dzwonię, żeby ci powiedzieć: do widzenia, Joe.

– Do widzenia, Karolino. Życzę ci dobrej podróży.

– Dziękuję... – Pauza. – Byłeś dla mnie bardzo miły, Joe. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Na pewno! – powiedział z uprzejmym przekonaniem.

Pauza.

– Do widzenia, Joe.

– Do widzenia, Karolinko.

Po drugiej stronie przewodu widelki opadły cicho, naciśnięte spokojną, małą dłonią.

Joe Alex z wolna opuścił słuchawkę, ale w chwili kiedy opadła, telefon znów zadzwęczał. Poderwał rękę.

– Słucham?

– To ty, Joe?

– Ja. To ty, Ben, prawda?

– Tak, oczywiście, to ja. Co robisz w tej chwili?

– Co robię? Powinienem być zmartwiony. Nie jestem zmartwiony i martwię się tym, że nie jestem zmartwiony. Rozumiesz?

– Rozumiem. Czy myślisz, że policjanci nie mają prywatnych zmartwień?

– Nie jestem przekonany... – mruknął Joe. – Może byś wpadł do mnie? Właśnie idę do teatru i...

– To znaczy, że masz dwa bilety na *Macbetha* i nie wiesz, co zrobić z drugim.

– Mniej więcej... – powiedział Joe i nagle zrozumiał. – Skąd wiesz, że na *Macbetha*?

– Zgadłem po prostu.

– Hm...

– Co, hm?

– Nic. A czy chcesz pójść?

– Nie wiem. Jestem dzisiaj samotnym policjantem – powiedział Ben Parker. – Jestem policjantem ubranym w jak najbardziej wieczorowy strój. Prawdę mówiąc, chciałem cię wyciągnąć z domu. Jest w East Endzie pewien dość ekskluzywny lokal, który wart byłby obejrzenia. To znaczy, możemy połączyć przyjemne z pożytecznym. Ale to nic pilnego. Po prostu rutyna zawodowa. Lecz skoro masz bilety na *Otella*...

– Na *Macbetha*.

– Właśnie! Ta sztuka zdecydowanie mi odpowiada. Jest zbrodnia, są motywy i jest gruntowna analiza psychiki zbrodniarzy. Mógłbym niejedno do tego dopisać, gdybym umiał posługiwać się białym wierszem.

– Czy to znaczy, że chcesz pójść?

– Tak. Potem moglibyśmy wpaść gdzieś na kieliszek. Mam do ciebie niewielką prośbę.

– Prywatną?

– Nie.

– To ciekawe – powiedział Joe Alex. – Mamy dwadzieścia minut do rozpoczęcia przedstawienia, muszę jeszcze po drodze kupić kwiaty. Gdzie po ciebie podjechać?

– Nigdzie – brzmiała spokojna odpowiedź. – Jestem w barze naprzeciw twoich okien, a jeżeli odsłonisz firankę, zobaczysz przed tym barem czarny samochód. Za kierownicą siedzi pyzaty młody człowiek w szarym kapeluszu. Nazwisko jego brzmi Jones i jest sierżantem.

– To znaczy, że jesteś w tej chwili na służbie, prawda?

– Jestem tylko słabym człowiekiem – roześmiał się Parker.

Ale Joe znał go zbyt długo, aby nie wiedzieć, że Ben prędzej strzeliłby sobie w głowę ze służbowego pistoletu, niżby miał użyć służbowego samochodu dla prywatnych celów.

– Zaraz zejść! – odłożył słuchawkę, poprawił w lustrze włosy i wyszedł do przedpokoju po okrycie, rozmyślając nad tym, skąd Ben wie, że dziś chciał zobaczyć *Macbetha*, że Karolina nie przyszła, że...

Otulił się szczelniej płaszczem, bo wieczór był chłodny. Odczuwał lekkie podniecenie. Zły nastrój minął.

II. RATUJCIE ICH!

Wypełniona do ostatniego miejsca widownia trwała w absolutnej ciszy. Sara Drummond uniosła rękę ku oczom. W kręgu światła rzucanym przez umieszczony w górze niewidzialny reflektor wydawało się Alexowi, że naprawdę dostrzega na jej dłoni czerwoną plamę.

– To zapach krwi! – powiedziała aktorka cicho i prawie spokojnie. – Wszystkie pachnidła Arabii nie zmieniają zapachu tej drobnej dłoni. Och!

Ostatni wykrzyknik był pełen cichego zdziwienia i równocześnie tak pełen szaleństwa, że Alex przetarł oczy. Nigdy nawet nie przypuszczał, że można zawrzeć całe tomy spraw psychologicznych, całą mękę człowieka i całe oddalenie szalonego mózgu od świata w jednym kompletnie nic nie znaczącym słowie, wypowiedzianym w dodatku tak cicho, że gdyby nie zupełna cisza w teatrze, nie dotarłoby ono chyba do słuchaczy. Kątem oka spojrzał na Parkera. Inspektor siedział pochylony nieco ku przodowi, oczy miał przymrużone, a na twarzy wyraz takiego skupienia, jak gdyby był uczonym obserwującym fenomen, od którego

zależy los wszystkich jego badań. Mimo to wyczuł spojrzenie sąsiada i z wolna odwrócił głowę. Ze zdziwieniem Alex dostrzegł w jego oczach nie podziw, ale jak gdyby troskę.

Kiedy kurtyna opadła i nastąpiła mała przerwa przed rozpoczęciem ostatniego aktu, Parker trącił go lekko.

– Czy chcesz zostać do końca? Lady Macbeth już nie zobaczymy, a dalszy ciąg i tak znamy ze szkoły – uśmiechnął się leciuteńko. – Jestem tylko policjantem, ale wydaje mi się, że dla pozostałych aktorów szkoda godziny naszego życia. To dziwne przedstawienie. Ta kobieta panuje nad wszystkim tak bardzo, że szczerze mówiąc, mniej mnie obchodzi jej mąż i jego losy.

– Dobrze – powiedział Joe. – Chodźmy.

Po kilkunastu minutach czarny samochód zatrzymał się przed jego domem. Inspektor ocknął się z zamyślenia.

– Mielśmy przecież jechać do East Endu! Zapomniałem powiedzieć sierżantowi i dlatego odwiózł nas z powrotem. Ale może to nawet lepiej. Czy mogę o tej porze wpaść do ciebie na chwilę?

– No pewnie! – powiedział Alex. – Przecież ciągle jeszcze nie powiedziałeś mi tego, co chcesz powiedzieć.

– Ja? Tak. Oczywiście... – Parker zamilkł.

Winda miękko popłynęła w górę. Kiedy weszli, Alex wyciągnął z małej lodówki, ukrytej pomiędzy pełnymi książek półkami, dwie butelki i trzymając je w obu rękach pokazał inspektorowi.

– Koniak czy whisky?

– Whisky. Bez wody sodowej, jeżeli mogę prosić.

Usiedli. Alex nalał. Wypili w milczeniu. Alex nalał powtórnie. Inspektor przecząco potrząsnął głową.

– Myślę – powiedział z troską w głosie – o tym, że jedziesz do Drummondów, żeby pisać. Nie chciałbym ci przeszkadzać w tym. Nie mam właściwie prawa.

– Ben – Joe wstał – rozumiem, że kiedy jest się znakomitym detektywem, człowiek nie może zachowywać się zupełnie tak samo jak, powiedzmy, nauczyciel greki albo właściciel sklepu z zabawkami. Ale jeżeli wolno mi prosić, to proszę, żebyś nie zachowywał się jak postać z drugorzędnej powieści kryminalnej.

– Idiota! – powiedział inspektor szczerze i rozłożył ręce. – Ja naprawdę bardzo się martwię i naprawdę nie wiem, co ci mam powiedzieć.

– Jeżeli zaczniesz mówić, dojdziemy w końcu do jakichś rezultatów. Tak mi się przynajmniej wydaje...

– Prawdopodobnie masz słuszość... – Inspektor wychylił szybko zawartość drugiej szklaneczki i znowu umilkł. Teraz Joe postanowił mu nie przerywać. Był naprawdę zadowolony. Mimo to jeszcze miał w oczach drobną, wyprostowaną sylwetkę kobiety na scenie. Wszystkie pachnidła Arabii...

– Gdyby nie to, że Ian Drummond, ty i ja byliśmy kiedyś przyjaciółmi i, jak myślę, jesteśmy nimi nadal, nigdy bym do ciebie z tym nie przyszedł – zaczął Parker. – To, co ci powiem, jest tajemnicą służbową. No, niezupełnie może, bo uzyskałem zgodę moich zwierzchników, aby mówić z tobą na ten temat... – Znowu urwał. Alex milczał nadal. – Nie wiem, czy mam słuszość, ale wydaje mi się, że Ian jest w niebezpieczeństwie... – powiedział wreszcie inspektor. – W dużym niebezpieczeństwie, nie mniejszym może niż wtedy, kiedy razem z nami latał nad Niemcami. Może nawet w większym, powiedziałbym, bo wtedy wiedzieliśmy, co nam grozi. Byliśmy uzbrojeni, czujni, wyszkoleni w zwalczaniu tego niebezpieczeństwa i mieliśmy tyle samo szans co atakujący nas myśliwiec. Teraz jest inaczej.

Głowa Sary Drummond zniknęła z wyobraźni Alexa i na jej miejsce pojawiła się roześmiana twarz w oficerskiej, nasuniętej na bakier czapce. Taki był Ian wtedy. Niewiele się zmienił. Utył może trochę, ale ciągle wyglądał jak chłopak. Duży, genialny chłopak o uśmiechu, który rozbrajał wszystkich, i nic dziwnego, że rozbroił także największą aktorkę Wielkiej Brytanii.

– Jak to? Ian?

– Tak. Jak wiesz, Ian jest chemikiem. Wiesz także, że zrobił to, co w innych zawodach nazywałoby się wielką karierą. Wśród uczonych nie używa się tego określenia. Ale Ian jest światową znakomitością w dziedzinie tworzyw syntetycznych. On i jego najbliższy współpracownik, Harold Sparrow, pracują w tej chwili nad syntezą siarki. Nie umiem powiedzieć o tej sprawie zbyt wiele, bo nie jestem specjalistą. Zresztą ty też nie jesteś. Ważne jest to, że ich badania mogą przynieść prawdziwą rewolucję w sensie przemysłowym. Jeżeli to, nad czym pracują, przyniesie owoce, sprawa stosowania mas plastycznych rozrośnie się w krótkim czasie niesłychanie. Od syntetycznych tanich domków do leciutkich kuloodpornych pancerzy dla czołgów i absolutnie odpornych na wzrost temperatury kadłubów samolotów naddźwiękowych. Powtarzam ci tylko to, co usłyszałem. Oczywiście, jest to więcej niż tajemnica wojskowa... chociaż okazuje się, że zna ją zbyt wiele osób.

– Rozumiem.

– Myślę, że trochę już rozumiesz. I Drummond, i Sparrow są nie tylko naukowcami, ale i ludźmi interesu. Chociaż przeprowadzają badania pod wysokim protektoratem jednego z naszych na pół rządowych koncernów, nie zwierzają się nikomu. Mimo to sprawa wypłynęła na zewnątrz.

– Skąd wiesz?

– Stąd... – powiedział inspektor i wyciągnął z zewnętrznej kieszeni marynarki kopertę.

– Wiedziałem, że o to zapytasz. Chcę ci to pokazać. Jeżeli tajemnica jest znana komuś zupełnie obcemu, nie ma powodu, żeby jej nie powierzyć tobie. Zresztą muszę ci zaufać.

Podał Alexowi list. Joe wyjął z koperty niewielką, zwykłą kartkę, pokrytą maszynowym pismem i zaczął czytać półgłosem:

Do Scotland Yardu

Panu Ianowi Drummondowi i panu Haroldowi Sparrowowi grozi niebezpieczeństwo. Chodzi o ich badania. Są komuś bardzo potrzebne. Próbowano kupić. Teraz będą próbowali ich zmusić do milczenia. To straszne. Ratujcie ich!

Przyjaciel Anglii

Alex roześmiał się.

– To brzmi jak list napisany przez wariata, który przeczytał za wiele komiksów – powiedział szczerze. – Nie tak wyobrażam sobie ostrzeżenie serio. Dostajecie chyba codziennie setki takich listów. Na pewno grożą, że zabiją królową albo wysadzą parlament, albo podłożą bombę pod obcą ambasadę. Takich maniaków są setki, może nawet tysiące. Nie. Nie przejmowałbym się tym.

– I ja nie – powiedział inspektor – gdyby nie kilka punktów, które to wykluczają. Po pierwsze: maniak, który by wiedział, na przykład, że dziś w nocy mamy wypróbować latającą łódź podwodną, byłby nie tylko maniakiem, gdyby termin był prawdziwy, a sprawę tej łodzi otoczono ścisłą tajemnicą.

– Chcesz powiedzieć, że zastanawia cię, skąd autor tego listu wie o pracy Drummonda i Sparrowa, tak?

– Tak. Po drugie, wie on także, że były próby pertraktacji z obu uczonymi. Prowadzili je przedstawiciele pewnego bardzo z nami zaprzyjaźnionego mocarstwa, które interesuje się, oczywiście, rozwojem wiedzy o tworzywach sztucznych. Próby penetracji były bardzo

ogólnikowe i wydawało się, że tamci raczej coś zwęszyli, ale nie mają żadnej pewności, co właściwie nasi uczeni kryją w rękawie. Przedsięwzięliśmy jak najdalej idące środki ostrożności, bo chociaż przyjaźń międzynarodowa i paktu wiekuiestej przyjaźni to rzeczy chwalebne, ale sprawa dotyczy pierwszeństwa na rynkach całego świata i olbrzymich sum patentowych. Kiedy się widziało w życiu to, co ja widziałem, wie się, że życie ludzkie jest tylko jedną z cyfr w równaniu. Niekiedy równanie wymaga, by ta cyfra była najważniejsza, wtedy człowiek staje się bezcenny. Ale kiedy indziej równanie nie wychodzi bez skreślenia tej cyfry i człowiek zostaje zmasany z tablicy tak dokładnie, jakby go na niej nigdy przedtem nie było. Nie chciałbym... nie chcielibyśmy, żeby Drummond i Sparrow zostali zmasani z tej tablicy tylko dlatego, że mocarstwo, będące naszym wielkim przyjacielem, posiada gałęzie przemysłu, które nie znoszą konkurencji. Ten list byłby może listem maniaka. Niestety, zawiera on zbyt wiele prawdy. Poza tym, i to jest trzeci punkt, który mnie niepokoi i każe traktować go poważnie: autor listu wie, że Drummond i Sparrow współpracują z sobą. Mało tego, wie, że praca ich w tym stadium, w jakim się znajduje, może zejść do grobu razem z nimi.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że na porządku dziennym jest zabijanie uczonych obcych krajów tylko dlatego, że mają jakiś dobry pomysł? Tych rzeczy się nie robi.

– Masz słuszość i nie masz słuszości. Trudno określić, jaki skutek wywrą prace obu naszych uczonych na ukształtowanie się rynku. Mogą przecież doprowadzić do ruiny tych, którzy będą musieli, siłą rzeczy, posługiwać się innymi metodami, bardziej przestarzałymi. Mogą uderzyć w producentów stali, w przemysł hutniczy, czy ja wiem zresztą, w co? Nie wiem. Jedno tu jest tylko trochę niejasne...

– Co? – zapytał Alex.

– To mianowicie, że w takich wypadkach zabijanie ludzi jest, jak mi się wydaje, zupełną ostatecznością. Z tego listu wynika, że jakieś bardzo potężne siły wiedzą o badaniach Drummonda i Sparrowa i chcą ich unieszkodliwić. Otóż jest to trochę sprzeczne z logiką.

– Dlaczego?

– Bo genialnych ludzi nie zabija się jak muchy. Nawet gdyby ich badania mogły spowodować przewrót w przemyśle, to zawsze chce się ich najpierw kupić, zneutralizować, wykorzystać dla siebie. Przecież przedstawiają oni ogromną wartość dla każdego, kto ich wykorzysta. Umarli znaczą tylko tyle, co dwaj umarli urzędnicy. A tych prób, tych zabiegów, tej penetracji, jak dotąd, ani jeden, ani drugi nie odczuł. Poza tym, mówiąc szczerze, ma to trochę fantastyczny posmak. I gdyby nie...

– Gdyby nie fakt, że autor listu zdaje się stać blisko tych spraw, nie przejmowałbyś się tym?

– Mniej więcej. Jest w tym wszystkim coś niejasnego, coś, co wymagałoby wytłumaczenia. Nawet jeżeli wyobrazimy sobie mocarstwo czy koncern zagrożone badaniami Drummonda i Sparrowa, to taki niczym jeszcze nie sprowokowany zamach na nich w drugiej połowie dwudziestego wieku jest trochę nieprawdopodobny. Przecież nawet nie wiadomo, w jakim stopniu i czy w ogóle ich prace są ważne. My przypuszczamy, że są. Obaj badacze wierzą w to, ale mam informacje, że ich praca nie jest jeszcze zakończona, że istnieje szereg trudności, a w końcu byłoby nonsensem zakładać, że fabrykanci lamp naftowych powinni byli zamordować Edisona, kiedy wynalazł żarówkę elektryczną, a producenci salwarsanu zabić Flemminga, kiedy ogłosił odkrycie penicyliny. Przemysł nie broni się przecież przed postępem technicznym, chce go raczej wykorzystać dla siebie.

– Więc?

– A, ba! Czy ja wiem? W końcu wszystko jest możliwe. Nie wiemy o autorze tego listu niczego poza tym, że napisał go na małym, walizkowym remingtonie i wrzucił do skrzynki w Londynie. Oficjalnie nie przykładamy zbyt wielkiej wagi do tego rodzaju listów. Ale kiedy

chodzi o naszych najwybitniejszych uczonych, nie wolno niczego lekceważyć. Tym bardziej gdy list posiada cechy, o których już mówiliśmy.

– Dobrze – powiedział Alex i mimo woli uśmiechnął się. – To znaczy, że nic im chyba nie grozi, ale jeżeli któregoś dnia zostaną obaj znalezieni w swoich łóżkach z wielką porcją arszeniku w żołądkach, wówczas Scotland Yard nie będzie się dziwił.

– Przeciwnie, będzie się dziwił! – Parker wstał. – Będzie, bo do zadań Scotland Yardu należy między innymi, aby obywatele tego kraju nie byli przed snem karmieni arszenikiem. Słuchaj, Joe – podszedł do przyjaciela i położył mu rękę na ramieniu – będę teraz z tobą zupełnie szczerzy.

– A więc nie byłeś do tej pory?

– Byłem. Ale niezupełnie. Ten list nadszedł do nas przed dwoma tygodniami.

Zrobiliśmy od tego czasu wszystko, co robi się zwykle w takich sprawach. Rozmawialiśmy z obu uczonymi, oczywiście bardzo delikatnie, i otoczyliśmy Sunshine Manor dyskretną opieką. Na szczęście, posiadłość jest oddalona od większych skupisk ludzkich i nietrudno bez zwracania na siebie uwagi kontrolować ruch obcych w okolicy. Niestety, na moją propozycję, aby umieszczono w domu jednego z naszych ludzi, Drummond odpowiedział zdecydowanie odmownie. Trzeba przyznać, że ani on, ani Sparrow nie przejęli się w ogóle tym listem. I tu właśnie...

– Zaczyna się moja rola?

– Tak. – Parker usiadł i nalał sobie whisky, ale odstawił szklaneczkę i spojrzał niemal wesoło na stojącego przed nim gospodarza. – Oczywiście... Hm... uzyskałem pozwolenie wglądu w korespondencję domowników Sunshine Manor. Przed tygodniem przeczytałem list, w którym Ian zaprasza cię do siebie, a trzy dni temu twoją odpowiedź, w której dziękujesz za zaproszenie i oświadczasz, że pojutrze przyjedziesz tam na dwa tygodnie.

– Hm... – powiedział Alex – zważywszy, że prawa naszego kraju zabraniają władzom ingerencji w prywatne życie obywateli i zapewniają, między innymi, tajemnicę korespondencji...

– Istnieje u nas paragraf dotyczący dobra publicznego. W pewnych specjalnych i umotywowanych wypadkach może on być stosowany. Wydawało nam się, że jest to właśnie jeden z tych wypadków, a Home Office uznało to za słuszne. Czytałem więc te listy, jak by to powiedzieć, w imieniu Jej Królewskiej Mości. Oczywiście, gdyby nie fakt, że uratowałeś mi kilka razy życie...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI